

OBYWATEL
THE CITIZEN

Rok II. New York, 28 Marca 1896 Nr. 14.

ZE SWIATA.

‡ Berlin. Na zapytanie z Watykanu odpowiedział cesarz Wilhelm, że nie ma nic przeciw zamianowaniu kardynałem arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego ks. dra. Stablewskiego.

‡ Rzym. Król Menelik żąda podobno od Włoch 40 milionów kontrybucyi wojennej. Włochy naturalnie nic mu nie dadzą. Wojska Menelika otoczywszy Ismarę, ruszyły do Massowy.

‡ Synod prawosławny zatwierdził projekt ustanowienia w Wilnie, Kownie i Grodnie posad katechizatorów do nawracania żydów na chrystyanizm.

‡ „Nowoje Wremia" dowiaduje się, że niektórzy kupcy moskiewscy wysłali do Bułgaryi całe transporty książek duchowno-moralnej treści, obrazów świętych i malowideł. Jednocześnie udała się do Bułgaryi partya roznosicieli.

‡ Bułgarya. W kołach petersburskich twierdzą, że przyjazd księcia Ferdynanda bułgarskiego do Rosyi jest rzeczą zdecydowaną i nastąpi prawdopodobnie w ciągu kwietnia.

‡ Londyn. Według telegramu z Kairu do „Daily News", pułkownik Hunter, nie napotkawszy na opór, zajął miejscowość Akasheh, na południe od Wady Halfa Prawdopodobnie wyruszy teraz do Suardeh, północnego posterunku derwiszów.

‡ Berlin. Hrabia Posadowski-Wehner, sekretarz ministerstwa finansów, pozostanie w urzędzie, bo za pośrednictwem cesarza Wilhelma pogodził się z ministrem Miquel.

„Obywatel"
(The Citizen.)
ISSUED EVERY SATURDAY.

LOUIS NIEMO, (Ludwik Niemojowski) Pub.
2081 BATHGATE AVE., NEW YORK.

SUBSCRIPTION:
ONE YEAR $2.00 IN ADVANCE.
Single Copy 5 Cents.

Entered at the New York Post Office as second Class Mail Matter.

KRONICZKA Z NEW YORKU I OKOLICY.

* Sąd Gminy zupełnie uniewinnił ob. Niemojowskiego. Jak Czytelnikom naszym zapewne wiadomo osławiony Kułakowski zaskarżył wydawcę „Obywatela" o oszczerstwo i zarazem prosił „Gminę" o oczyszczenie go z zarzutów szpiegostwa. Niemniej osławiony Adolph Lewinsky występował w podwójnej roli obrońcy Kułakowskiego jakoteż i prokuratora.

Skarga odnosiła się jedynie do zarzutów szpiegostwa,—zarzuty przestępstw kryminalnych,—na żądanie Kułakowskiego, rozpatrywane nie były.

Dosłownie wyrok brzmi, jak następuje:

„My niżej podpisani jako sąd polubowny na mocy wszelkich wyjaśnień toku rozpraw sądu między p. Niemojowskim i E. Kułakowskim dla braku wystarczających dowodów nie uznajemy E. Kułakowskiego szpiegiem. Jednocześnie nie możemy nazwać p. L. Niemojowskiego oszczercą, gdyż tenże działał w dobrej wierze na podstawie pewnych pogłosek ustnych jako i piśmiennych".

Przypominamy Sz. Czytelnikom ze pisząc w 8ym numerze „Obywatela" o Kułakowskim wyraziliśmy się: „choć nie mamy dostatecznych dowodów...." i t. d. w wyroku zaś czytamy: „dla braku wystarczających dowodów...

Ze zaś „Obywatel" działał na podstawach pewnych o tem nie ma najmniejszej wątpliwości!

Jesteśmy zupełnie zadowoleni z wyroku sądu gdyż tenże potwierdził w zupełności nasze słowa. Ciekawyśmy czy Lewinsky i Kułakowski będą posiadali dosyć odwagi cywilnej aby wyrok umieścić dosłownie czy też, jak zwykle, zagmatwają całą tę sprawę.

Oto niektóre fakta o Kułakowskim które wypłynęły na wierzch podczas rozpraw sądowych:

1.) Mając lat 16 był już skazany do domu poprawy.

2.) Pracował przy policyi warszawskiej.

3.) Jest i był przyjacielem Adolpha Lewinskyego.

4.) Po utracie posady dostał od Oberpoliemajstra warszawskiego Tołstoja wsparcie pieniężne oraz bilety wolnej jazdy do Petersburga.

5.) Przyjechał do New York'u wprost z Petersburga i miał odrazu kilka tysięcy rubli.

6.) Otrzymał w New York'u list ze wszelkimi szczegółami o kradzieży w lombardach warszawskich wraz z fotografiami Huebsza, i t. d. i t. p.

Juścić Kułakowski starał się ze wszystkiego wytłomaczyć jak naprzykład: „przy policyi pracował jedynie dla chleba wsparcie dał mu Tołstoj gdyż on (Kułakowski a nie Tołstoj) był w ostatecznej nędzy, tysiące rubli które otrzymał w Petersburgu odziedziczył w spadku, fotografie Huebsza otrzymał od adwokata i t. p.

* Trzeba przyznać że Małorusin Matrosow, autor dzieła o stosunkach polskich na Litwie ma dość dzikie pojęcie o sądach polubownych. Oto jak się p. M. zapatrywał na sprawę Kułakowskiego: „Czeho sądzić Kułakowskiego, smotri na mordu jeho i powiedz owszem winowat!"

* Wieczorek Sokołów odbędzie się w Liberty Hall (261–3 E. Houston st.) 23go Maja.

* Paderewski słynny pianista, przesłał pani Teodorze Thomas, do Metropolitan Opera House, w zeszłą sobotę 22 marca srebrny kubek w prezencie. Pani Thomas, jest wielką przyjaciółką Paderewskiego.

* Max D. Steuer, który się ogłasza w Gazetce jako polski adwokat a który notabene ani słowa po polsku nie umie, narobił sobie nie mało kłopotu. Adam Lemański zaskarżył go o $50,000 odszkodowania za niesłuszne aresztowanie i jest nadzieja że jeśli nie całą sumę to choć część wygra.

* Kwestya budowy kościoła polskiego w górze miasta zamiast kupna kościoła irlandzkiego przy Grand ulicy coraz więcej zajmuje umysły naszych parafjan. Korzyści ztąd wynikające są tak znaczne i widoczne że nawet ci którym przestrzeń stoi na przeszkodzie pogodzili się z tą myślą.

* Zachęcini poparciem i życzliwością naszych rodaków postanowiliśmy w krótkim czasie, bo za parę miesięcy ulepszyć i powiększyć „Obywatela". Bierzemy się do tego powoli ale pewno. Powieści które po ukończeniu „Tadeusza" będziemy drukować są bardzo zajmujące.

* W piątek 20 b. m. w „Carnegie Hall" odbył się koncert uczni i uczennic pana Lewy, Warszawiaka, który już od lat kilkunastu prowadzi szkołę muzyczną w naszym mieście. Koncert wypadł nader pomyślnie i wymownie świadczy o zdolnościach nauczycielskich pana Lewy.

* Turniej szachowy kółka polskiego w którym pan Stefan Cieszewski jest prezesem a pan Jan Rade gwiazdą przewodnią zacznie się w sobotę 28go b. m.

BACZNOSC POLACY!

Obecnie nadarza sie wielka sposobność założenia swego własnego gospodarstwa w żyznej i pięknej okolicy, położonej nad Red River w Minnesocie. Nie ociągajcie sie, ale póki czas wybierzcie sobie ziemie na farmę, gdyż później bedzie otworzona rezerwacja Indjańska z Red Lake a wówczas do 15.000 ludzi zgłosi się do zakupna gruntów w Crookston, co nastąpi nie dalej jak około 1 Czerwca, 1896.

Trzy polskie kolonie zostały już założone w roku 1895, Lewakowski, blisko Argyle, Stanisławowo, blisko Stephen i Kroże przy Hallock.

Jeżeli Was to interesuje piszcie pod adresem: Land Commissioner, Great Northern Ry. St. Paul, Minn., a otrzymacie bezpłatnie mapy i ilustrowane Broszury. Również otrzymacie szczegółowe informacje, tyczące się wolnych rządowych gruntów, jak i metode sprzedaży ziemi przez Great Northern Co., polegającą na łatwych częściowych spłatach.

Broszury wszelkie są drukowane w polskim języku.

przybywam, w przeciągu pół godziny napełnia się się tym gazem, gdyby więc się zapalił nastąpiłaby eksplozja, którahy z pewnością zamek wysadziła w powietrze.

Usłyszawszy to, przerażony padłem na krzesło. Jeszcze jeden warjat! Dostałem się pomiędzy sześciu obłąkanych— a ja jestem siódmym, skorom sobie za drogie pieniądze kupił tak miłe towarzystwo. Jeżeli pozostanę dłużej, oszaleję z kretesem ale większym byłbym warjatem uciekając ztąd i pozostawiając gospodarstwo na Bożej opiece.

Porwałem się z krzesła i biegłem wściekły do sypialni.

— Dobrej nocy życzę panu—zawołał za mną rządca— przepraszam, że go nie odprowadzam, ale gdyby ktoś na dworze wydychał tlen, wtenczas jego tlen, pomieszany z moim wodorodem, utworzyłby wodę i ... i ... ja mógłbym się utopić.

Zatknąłem uszy i pędziłem przed siebie: zanim odszukałem sypialnię, potrąciłem kilkanaście osób, wreszcie uderzyłem o nos Ludwika.

— A oto wypadek! Ha! ha! ha!—śmiał się kamerdyner —Jaśnie pan czegoś rozgniewany, ha! ha! ha!

— Dosyć tego: „ha! ha!"—krzyknąłem groźnie.—Idź do licha, waryacie i powiedz tym drugim waryatom, żeby mi się na oczy nie pokazywali... Idź precz, powtarzam, jestem ludożerca i okropny mnie apetyt bierze na twoje mięso, rozumiesz?

II.

Ludwik odszedł nie przestając się śmiać, a począłem biegać po pokojach, rostrącając sprzęty. Na kominku płonął suty ogień, alem nie czuł ani zimna ani ciepła. Wieczerza stała na stole, nie tknąłem jej; kto wie, może ją przyrządzał waryat i zamiast kurcząt podał mi potrawę z kota lub szczurów... W sypialni czekało na mnie łóżko rozebrane, bałem się do niego przystąpić; myślałem tylko o tem: jakim sposobem możnaby się z pomiędzy waryatów wydostać?

Unieważnić kontraktu nie mogłem, proces z pewnością przyprawiłby mnie o straty, wszakże miałbym za przeciwnika adwokata?

Najlepiej poddać się losowi; na waryatów uważać nie będę, przygotuję sobie gruby sękacz, tym ich może do rozumu przyprowadzę. Przecież kontrakt nie zastrzegł, abym pacyentów zmarłego hrabiego kijem nie okładał.

Ale nie, to byłoby barbarzyństwem z mej strony; miałżebym się pastwić nad istotami pozbawionemi rozumu? Byłoby to niegodziwością...

— Co począć? co począć—powtarzałem wyłamując palce.—Często miewam pomysły tak świetne a teraz, jak na złość, żaden nie przychodzi do głowy.

Znużony bieganiem rzuciłem się na łóżko i w tej chwili spostrzegłem na przeciwnej ścianie szereg portretów, przedstawiających członków rodziny Klarandy. Co za dzika myśl pozostawienia portretów rodzinnych, po sprzedaży zamku! Skoro nowy dziedzic otworzy mieszkania, zdaje mu się, że owe średniowieczne postacie schodzą z płótna, idą ku niemu i zapytują: „Co robisz tu nieproszony gościu? To nasze gniazdo, tyś nam wcale niepotrzebny!"

Patrząc na portrety stałem się jeszcze bardziej zgryźliwy; doprawdy, wolałbym widma wchodzące przez jakie drzwiczki tajemne, z oczyma zaiskrzonemi, wlokące za sobą łańcuchy, niż te nieme, malowane postacie, wyzierające z poczerniałych ram, ubrane w dziwaczne, jaskrawe stroje.

Do licha! to łóżko niezwykle zimne, leżę chyba na lodzie. A może przed chwilą spoczywał tu jaki duch pokutujący? Jeżeli tak było, szczęście że umknął, bo byłem do tego stopnia zły, żebym nawet ducha gotów wytuzować.

Zgasiłem świecę i naraz przez wielkie, gotyckie okna do pokoju zajrzał księżyc, ten patron waryatów; zdawało mi się że ma twarz skrzywioną złośliwie i dziwaczne stroi miny. Zasunąłem firanki, cóż to, czy i księżycowi wolno drwić ze mnie?

Ciemność ogarnęła sypialnię, ale gdy z dogasającego ognia na kominku wystrzelił płomyk, widziałem portret zmarłego hrabiego i znów mi się zdawało, że malowana postać się ożywia, podchodzi ku mnie, chwyta za głowę, mrucząc: „Jeszcze jeden waryat!"

Słowem wszystko mnie tu prześladowało; gdym pociągnął za sznur zegara ściennego, ten począł bić bez ustanku; przewracając się na łóżku natrafiłem na jakiś guzik metalowy i sam nie wiedząc poco, zacząłem nim kręcić zawzięcie; po chwili uczułem, że materace i poduszki maleją, wreszcie zrobiły się cienkie jak arkusz papieru. Domyśliłem się, że pościel była wypełniona powietrzem, które wypuściłem odkręciwszy guzik.

Więc tu wszystko poszalało: służba, zegar, portrety, pościel i księżyc nawet! Ale ja mam rozum, dowiodę tego. Nie wyprowadzę się, będę mieszkał i niech mi kto w drogę wejdzie oknem go wyrzucę. Niech się ze mną procesuje, zobaczymy kto wygra. Och, bo kiedy się zawezmę.

Nagle coś niezwykłego przerwało te groźby; do uszu mych doszedł odgłos śpiewu, który brzmiał tak uroczo, jak dźwięki harf czarodziejskich. Śpiew ucichł, jam wciąż nadsłuchiwał; byłem formalnie oczarowany. Zapomniałem o gniewie, o kłopotliwem położeniu, wybiegłem na korytarz, chcąc się dowiedzieć, zkąd ów cudowny głos pochodził. Stąpałem cicho, starając się nie wywołać najmniejszego szmeru; śpiew po chwili znów się odezwał; mówię śpiew, chociaż właściwie była to jakaś fantazya niepochwytana, coś nadnaturalnie pięknego. Wtedy przypomniałem sobie, że w zamku mieszka obłąkane dziewczę i poczułem do niego szczere spółczucie. Muszę ją poznać albo chociaż zobaczyć. Ale napróżno przebiegałem korytarze, skorzystałem tyle, żem w labiryncie wązkich przejść, tu i owdzie najeżonych wschodami, zabładził i ledwiem napowrót do sypialni mojej trafił. Gdym wszedł, zastałem moją pościel w porządku, na kominku płonął rozniecony na nowo ogień a portret hrabiego zasłonięty był zieloną firanką. Więc tu ktoś był podczas mo-

jej nieobecności, ale jakim sposobem się dostał, jak mógł tak szybko uporządkować nieład? Zagadki tej nie mogłem rozwiązać.

III

Nazajutrz innem okiem patrzyłem na rzeczy: nie, adwokat mnie nie oszukał, zrobiłem dobry interes a owi waryaci byli spokojni, użyteczni i niezwykle wierni ludzie. Hrabia zaiste szlachetny spełnił uczynek, zwracając ich światu, miałżebym okazać się niegodnym jego następcą? Postanowiłem wstąpić w jego ślady, w dalszym ciągu prowadzić rozpoczęte przezeń dzieło.

Zacząłem od Ludwika; lubił on niezmiernie wino, gdy się do niego dorwał, wpadał w tak wesoły humor, że nie można było znieść jego ciągłego śmiechu. Pewnego razu śmiał się w najlepsze a ja wtedy właśnie kazałem mu przynieść karafkę z wodą.

— Coś wsypał do wody?—zawołałem, gdy spełnił polecenie.

— Ja?—nie jaśnie panie, ha! ha!—odparł.

— Łotrze, wsypałeś truciznę!

— Ależ nie, ha! ha! Ja truciznę?

— Zobaczymy. Skoro nie wsypałeś trucizny, wypić musisz całą karafkę.

Ludwik przestał się śmiać, spojrzał na mnie ze strachem.

— Wypij!—powtórzyłem.

Poczciwiec westchnął i zrezygnacją wychylił szklankę.

— Całą, całą karafkę!—wołałem groźnie.

Wypił i odtąd już się nie śmieje, codziennie teraz przynosi karafkę wody i razem ze mną ją wychyla, ale gdym mu kazał przynieść butelkę wina, przyniósł dwa kieliszki i bez pytania nalał jeden dla siebie, tłumacząc się, że chce mnie przekonać, iż niema w winie trucizny.

Z odźwiernym kłopotu nie miałem: marzeniem jego był frak czerwony; gdy mu kupiłem strój taki nie mógł się dosyć nacieszyć; teraz skoczyłby w ogień gdybym tego żądał

Woźnicę wyleczyłem w ten sposób: zastawszy go spłakanego w stajni, zapytałem poufnie:

— Słuchaj Stefanie, czyś został ukarany za swoje zbrodnie?

— Nigdy, panie—odparł.

— To źle, zarazbyś uczuł ulgę na sumieniu. A może chcesz, żebym ja cię ukarał, co?

— O, panie gorąco tego pragnę!

Zawołałem Ludwika i kazałem mu wyliczyć Stefanowi trzydzieści plag, zastrzegając, iżby lekko uderzał oraz użył najcieńszej laski. Woźnica karze poddał się z ochotą; prosił, żebym liczył razy, bo Ludwik mógł ich niedorachować, napominał egzekutora, ażeby uderzał z całej siły, czego ten sumiennie dopełniał. I od tego czasu ów rzekomy morderca zmienił się do niepoznania; nietylko że nie płacze, ale pogwizduje siedząc na koźle, a gdy się kto dziwi zmianie usposobienia, odopwiada: „Odebrałem już karę sumienie mam spokojne".

Ciężką miałem przeprawę ze strzelcem; ów maleńki człowieczyna był usposobieniem gwałtowności i dumy. Łżył każdego kto mu się nie podobał a mnie traktował jak swego podwładnego. Zdarzyło się, że stado dzików wypadło z lasu i niszczyło mi pole; porwałem strzelbę, zawołałem mego Nemroda, rozkazując, iżby mi towarzyszył. Nie odparł nic, tylko się odwrócił, odymując jak zwykle, usta pogardliwie.

— Słyszysz co mówię?—rzekłem uderzając go po ramieniu.

Potworkowi zaiskrzyły się oczy, schwycił za wielki nóż myśliwski, który zawsze nosił za pasem.

— Jak śmiesz tak patrzeć na mnie?—krzyknąłem nie cofając się.

— Jestem królem lapończyków!—odparł wyniośle.

— A ja jestem cesarzem!—rzekłem również patetycznie.

Nemrod schował nóż, z szacunkiem mi się ukłonił, wziął strzelbę i poszedł ze mną na dziki. Odtąd nie groził mi, nie

stawiał oporu, wykonywał wszystkie rozkazy, opowiadając towarzyszom że służy cesarzowi.

Pana Malcera zostawiłem na ostatek; co prawda, długo się namyślałem, w jaki sposób wziąć się do niego, aż zdecydowałem się nareszcie. Sprowadziłem wielki wór kauczukowy, kazałem go zanieść do pokoju rządcy i sam tam poszedłem.

— Co to jest?—zapytał pan Malcer zdziwiony.

— Zaraz panu wyjaśnię;—odparłem—powziąłem zamiar zamek oświetlić gazem a ten wór ma służyć za rezerwoar.

— Ale do tego trzeba urządzić gazownią, co się, zdaniem mojem, stanowczo nie opłaci.

— I bardzo się opłaci, jeżeli tylko potrafię się z panem ugodzić.

— Ze mną?

— Tak jest; pan napełniasz w przeciągu kilku godzin pokój gazem palnym, otóż gaz ten za pomocą pompki wprowadzimy do rezerwoaru, a z niego rozprowadzimy po odpowiednich rurkach i cała historya.

Pan Malcer zaczął się kręcić niespokojnie na krześle.

— Nie sądź pan, iżbym go chciał wyzyskiwać (tak samo ja nigdybym nie śmiał przypuszczać, iżbyś mnie pan miał okłamywać); będę panu płacił sumiennie za każdy napełniony rezerwoar po dwa dukaty, zgoda?

Fiksat zbladł, wahał się, czoło mu oblał pot kroplisty.

— Ja, szanowny panie—rzekł z wysiłkiem—nie mogę przystać na to.

— Co znowu!—zawołałem, udając obrażonego.—Zapewne pan mi chcesz zrobić podarunek ze swego hydrogenu ale ja stanowczo od nikogo żadnych ofiar nie przyjmuję. Może panu za nizka wydaje się cena? Starałem się unormować ją według cen fabrycznych. Hydrogenu nigdzie darmo nie dostanę, jeszcze w dodatku czystego. Bo pan, panie Malcer, wydychasz zupełnie czysty; wszak to nie urojenie, pan przekonany jesteś, że płuca twoje wytwarzają wodor, nieprawdaż?

Twarz rządcy mówiła, że toczy on w duszy ciężką walkę; z jednej strony stała niezachwiana uczciwość, z drugiej fikcya, która mu umysł obałamuciła. Czas jakiś patrzył na mnie, wreszcie porwał palącą się lampę Davy'ego, zrzucił z niej osłonę i upadł zakrywając oczy dłońmi.

Wybuchł nie nastąpił— pan Malcer przekonał się, iż ów hydrogen to przywidzenie. Dwa tygodnie chorował ale wstał z łóżka zupełnie uspokojony, fiksacya go opuściła.

IV.

W zamczysku pozostało jeszcze dwoje obłąkanych: niewidzialna, śpiewająca czarodziejka i ja—zakochany w niej szalenie. We dnie panuje w pokojach zamku cisza, nic nie zdradza, iżby tu mieszkała oprócz mnie żywa istota, ale skoro wieczór nadejdzie odzywa się ów uroczy śpiew i trwa długo, tak że zasypiam ukołysany jego melodyą. Gdy śpię, zdaje mi się, że śpiewająca istota chodzi po sypialni, siada przy łóżku i czuwa nademną. Mam podstawy do domysłów, bo oto nocną lampkę po przebudzeniu się zastaję zgaszoną i zatrzymany zegar, tajemniczy gość gasi lampkę, niechcąc, żebym go dostrzegł, jeżeli się obudzę przypadkiem, a zatrzymuje zegar, żeby mi monotonne „tik-tak" spać nie przeszkadzało.

A przecież nie mogę się dowiedzieć jaką drogą gość do pokoju się dostaje? Drzwi starannie na klucz zamykam, okna są gęsto okratowane, podłogę przykrywa dywan gwoździami przybity w rogach; w ścianach niema żadnych drzwi tajemnych, opukałem je, zdejmowałem nawet portrety i nic nie znalazłem; wreszcie nad sypialnią leży sto korcy pszenicy, gdyby więc był jaki otwór w suficie, ziarna najprzód spadłyby na moję głowę.

Wypytywałem służbę, i od niej niczego się nie dowiedziałem; rządca odparł, że nie wie o niczem; woźnica pod sekretem mi wyjawił, że śpiewa dusza dawnej mieszkanki zamku, którą mąż z niewiadomych przyczyn żywcem zamu-

rować kazał; Ludwik twierdził, że zamek nawiedza dobra wróżka, żyjąca zapachem kwiatów i rosą, a strzelec mi szepnął, że to złośliwa czarownica, która często się zmienia w wilka, nocą wpada do domów i porywa małe dzieci: „szczęście, że jaśnie pan nie dziecko!" dokończył poważnie.

Często udawałem śpiącego, ale wtedy nikt się nie zjawiał, domniemania zaś moje co do nocnych odwiedzin, coraz trwalszych nabierały podstaw; wreszcie traf mi podsunął niezbity dowód.

Ponieważ myślałem wciąż o tajemniczym gościu, śnił mi się niemal każdej nocy; wyobrażałem go sobie jako wysmukłą dziewicę, z warkoczami jasnemi, szafirowemi oczyma, które patrzyły na mnie tak słodko, z taką miłością, że serce mi biło gdyby młotem ze wzruszenia; twarz miała bladą, kształty rzeźbione, słowem była to piękność idealna, jaką malują poeci w swoich fantazyach. Pewnego razu marzyłem; żem siedział z nią na brzegu morza, pod osłoną cyprysów; fale szemrały cicho, pod jasnem niebem trzepotały się mewy, podobne do śnieżnych żagli, zdartych z masztu przez wicher. Ująłem rękę czarodziejki i począłem szeptać wyznanie miłości. Patrzyła na mnie zdumionym wzrokiem a gdym chciał na jej liczku złożyć pocałunek, krzyknęła i znikła, ja zaś się zbudziłem.

To nie było marzenie senne, ów krzyk wydała istota żywa...

A jednak w pokoju nie było nikogo.

Nagle myśl dziwna przyszła mi do głowy: może tajemnicza istota przez kominek przychodzi? Ale przypuszczenie to natychmiast odrzuciłem zawstydzony. Czarodziejka moja miałaby kominem wlatywać, jak wiedźmy złośliwe z Łysej góry! Zresztą na kominku dogorywały głownie, był on nadto okolony żelaznemi kratami.

— Gdyby mi kto potrafił rozwiązać zagadkę—mówiłem do siebie—czy owa istota jest przewidzeniem, czy też istnieje rzeczywiście. Przywidzenie? to być nie może: ja słyszę jej głos, brzmi on dotąd w mych uszach.

— Boże mój, co się panu stało?!— krzyknęła pani Robson.

Nie, nie—odrzekł Tadeusz, widocznie odzyskawszy panowanie nad sobą —nie obawiaj się pani o mnie.—Poczem podniósł płaszcz i zabierał się do wyjścia.

Lecz pani Robson poszła za nim; przestraszona jego zachowaniem i wyglądem.

— Proszę pana —panie Constantine— co panu jest?

— Łaskawa pani— odrzekł Tadeusz — nic mi nie jest. Pewnie zmęczyłem się za bardo przechadzką. Zostaw mnie pani samemu sobie na chwilę. Bardzo mię pani zobowiąże.

— Zastosuję się do pańskiego życzenia, panie Constantine— rzekła staruszka.— I wybacz mi proszę, jeśli moja opieka staje się uciążliwą. Chciałabym panu służyć jak najlepiej— ale przywiązanie do pańskiej osoby—unosi mnie często za daleko. Zapominam niekiedy, jaka różnica zachodzi w naszym stanowisku społecznem.

Tadeusz nie był w stanie odpowiedzieć na to. Uścisnął tylko rękę pani Robson i pospieszył na górę, do swych pokoi, jakby chciał ukrywać się przed okiem ludzkiem. Przybywszy do swego mieszkania, zamknął je szczelnie i obejrzał się po niem, jakby szukał czegoś. Następnie rzucił się rozpaczliwie na krzesło i uderzając ręką w głowę wykrzyknął:

— Przepadło! Co się stanie ze mną? Z tą kobietą, której środki użyte zostały dla mnie?

Położenie było istotnie krytycznem. Zegarek, który Tadeusz miał zamiar sprzedać dla pokrycia kosztów swej kuracji— zginął. Jakiś łotr, widocznie spostrzegł błyszczący łańcuszek i skorzystał z natłoku, jaki powstał przy ratowaniu dziecka, by ściągnąć niepostrzeżenie ten klejnot.

Tadeusz siedział tak na krześle prawie nieruchomy, bojąc się niemal myśleć o swej sytuacji. Nie szło mu o własną biedę, ale o niedostatek, jaki niezawodnie da się uczuć biednej staruszce, która nawet długi zaciągnąć musiała, by

dostarczyć mu wygód różnych podczas choroby. Co robić teraz?! Nareszcie wstał i zawołał:

— Muszę zdecydować się na coś, kiedy to zginęło, trzeba szukać czego innego. — Otworzył skrzynkę, w której się znajdowały drogocenne przedmioty pozostałe mu jeszcze. Było ich nie wiele; drzącą ręką wyjmował je pojedyńczo i przeglądał, myśląc nad tem, z którą najłatwiej by mu było się rozstać. Kilka paczek darowanych mu przez matkę, para pistoletów dziwirowanych, które mu dziadek zatknął za pas w ów straszny dzień 10go listopada; miniatura wojewody, którego rzęsiste oczy zdawały się patrzeć z affekcją na swego wnuka. Tadeusz ucałował ten obrazek i schował go napowrót do skrzynki, poczem przykrył swą twarz ręką i stał przez chwilę w zadumaniu.

Ostatecznie odłożył i pistolety napowrót, gdyż wydawało mu się to niejako bluźnierstwem oddać je w obce ręce. Nie dając już sobie czasu do myślenia schwycił jakąś puszkę złotą i parę spinek brylantowych i umieścił to w kieszeni swego surduta.

Zeszedł ze schodów krokiem lekkim, aby nie być dosłyszanym przez swoją gospodynię i przechodząc przez małe podwórze, dotarł do bramy; poczem skierował się do „Leicester Square" szukał jakiegoś sklepu, w którymby mógł pozbyć się swych kosztowności.

Na pierwszej ulicy przecinającej „Licenter Square", po stronie prawej, dostrzegł dwóch ludzi dobijających targu o kapelusz. Jeden z nich wyglądał na żyda, handlarza starzyzna. Tadeuszowi przyszło na myśl, czyby ten handlarz nie kupił jego płaszcza futrzanego. Pomimo ciepła, jakie mu zapewniała ta część jego ubioru, wolałby się przecież rozstać z nią, aniżeli pozbawić się jednej z tych drogocennych pamiątek po swojej matce, które poświęcić już był gotowym poprzednio.

Nie zwlekając więc dłużej, zwrócił się do handlarza, prosząc go aby z nim poszedł na jedno z najbliższych po-

dwórzy, gdyż pragnie mu coś sprzedać. Handlarz usłuchał i przyszedłszy na miejsce wskazane zapytał, co Tadeusz ma do sprzedania.

— Ten płaszcz—odpowiedział Tadeusz zdejmując z ramion.

Handlarz bez ceremonii obejrzał sukno i futro, po czem rzekł:

— Aha, sukno niezłe jeszcze i sobole porządne. Ale kto kupi odemnie? Kołnierz jest futrzany. Tu nikt takich rzeczy nie nosi.

— Jak nie to nie—rzekł Tadeusz i chciał odejść.

— Zatrzymaj się pan—rzekł handlarz idąc za nim.—Ile pan chcesz za to?

— Ile dasz?

— Czekaj pan, jest długie i szerokie dość. Mógłbym dać najwięcej pięć gwineji.

Przed kilku miesiącami zapłacił za ten płaszcz sto gwineji. Zważywszy jednak na sytuację, zgodził się na cenę ofiarowaną i wziąwszy pieniądze oddał płaszcz handlarzowi.

Dojmujące zimno i śnieg, który gęsto padać począł, wnet dały uczuć Tadeuszowi, jak bardzo potrzebnem mu było to, czego się dopiero co pozbył tak lekko. Zanadto jednak był znękany ciosami losu, aby zachować należytą wrażliwość na przykrości wynikające z rozigranych żywiołów. Podczas gdy wiatr dął w twarz jego, on myślał czy pieniądze, które obecnie posiadał wystarczą na zaspokojenie jego długów. Nie przyzwyczajony do interesów pieniężnych, nie miał pojęcia o wartości monety i z drżeniem serca przypuszczał, że to wszystko będzie niedostatecznem. Postanowił więc udać się do jednego z tych sklepów, które pani Robson tak wymownie mu opisała, gdy opowiadała o marnotrastwie swego nieżyjącego już obecnie, syna.

Idąc za temi wskazówkami odnalazł wkrótce sklep podobny. Wnętrze było oświetlone i przez okno Tadeusz ujrzał pryncypała, sortującego różne paczki. Jegomość ten wyglądał

dość sympatycznie, co Tadeuszowi dodało odwagi. Nie robił sobie ceremonii z handlarzem ulicznym, ale przykro mu było przedstawić się człowiekowi przyzwoicie wyglądającemu.

Na myśl jednak o pani Robson i jej biedzie, odtrącił od siebie wszelkie skrupuły i nacisnąwszy kapelusz na oczy, wszedł do sklepu.

Człowiek stojący za kontuarem ukłonił się grzecznie i zapytał czego sobie życzy. Tadeusz uczuł rumieniec na swej twarzy, ale panując nad sobą położył puszkę złotą na desce i spokojnym głosem rzekł:

— Pragnę sprzedać to.

Właściciel sklepu zauważywszy dystynkcję aplikanta i lepszy ubiór jaki nosił (nawet gwiazda nie uszła jego baczności) przypatrzył mu się ciekawie. Dotknięty tym Tadeusz powtórzył swe żądanie podniesionym głosem. To poskutkowało. Bez dalszej zwłoki właściciel sklepu otworzył pudełko obejrzał i z należytem respektem zapytał Tadeusza ile żąda za nią:

— Pozostawiam to panu—odpowiedział Tadeusz.

— Złoto jest czyste, ale bardzo cienkie. Nie mógłbym dać więcej jak 5 gwineje. Choć robota jest piękną, to jednak nie jest ona modną w Anglii i musiałbym to dać do stopienia.

— Zgadzam się na pańską cenę—rzekł Tadeusz słabym głosem, patrząc z boleścią na to, jak pamiątka po matce jego przechodzi do rąk obcych.

Otrzymawszy pieniądze opuścił sklep pospiesznie, udając się ku domowi.

Pani Robson właśnie zamykała okienice swego pokoju, gdy zauważyła swego lokatora.

— O dla Boga, gdzie Wielmożny pan był. Myślałam, że pan jest u siebie i nie śmiałam przeszkadzać. A tu mały Wiluś już o mało oczu sobie nie wypłakał, gdy mu do pana iść nie pozwoliłam.

Trudno było Tadeuszowi coś odpowiedzieć na to. Sądził, że mu się uda wrócić niespostrzeżenie, więc nie przygotował żadnej wymówki. W każdym razie, był zdecydowany nie zdradzać swej tajemnicy, do zachowania takowej skłoniła go zarówno delikatność, jak i duma rodowa. Odpowiedział więc krótko:

— Wyszedłem na spacer.

— Proszę ja kogo—rzekła pani Robson—a ja myślałam, że już pan miał dosyć spaceru na dziś. Tak przynajmniej pan mówił poprzednio, przypisując nagłe osłabienie swe zbytecznemu ruchowi.

— Zdawało mi się tak—rzekł Tadeusz—ale później doszedłem do przekonania, że mi jeszcze więcej ruchu potrzeba. Wyszedłem więc na nowo i teraz czuję się lepiej. Bardzo mi przykro, że panią przestraszyłem.

Tem niejasnem tłumaczeniem uspokoił gospodynię i czując, że siły jego tym razem istotnie są wyczerpane, pożegnał panią Robson i udał się prosto do swych pokojów, gdzie rzuciwszy się na łóżko, usnął snem twardym.

ROZDZIAŁ XV.

Śmierć młodego przyjaciela.

Na drugi dzień, po sprzedaniu złotej puszki i płaszcza, Tadeusz przedewszystkiem kupił sobie skromny garnitur ubrania, podług fasonu używanego przez klasę ludzi średniej zamożności, ażeby nie zwracać na siebie ogólnej uwagi przechodniów, swoim zagranicznym wojskowym strojem: następnie postanowił pospłacać długi. Prosił więc swoją gosposię o zażądanie likwidacji od aptekarza i o przedstawienie także swego rachunku.

Likwidacja aptekarza Vincenta, zbyt była wygórowaną, lecz Tadeusz bez okazania najmniejszego nieukontentowania, podaną sumę zapłacił.

Natomiast zacna staruszka Robson, którego pielęgnowała z troskliwością macierzyńską, przepędzała przy nim noce bezsenne, gotowała mu rosołki i kleiki, nietylko nie chciała wziąść żadnego wynagrodzenia—ale wielce była oburzoną za zdzierstwo Vincenta. Tadeusz musiał długo nalegać i prosić, zanim skłonił ją do przyjęcia choć drobnej kwoty.

Ta serdeczność pani Robson, wzruszyła do głębi Tadeusza i była dla niego wielką ulgą w ciężkiej jego doli. Czuł, że nie jest osamotnionym zupełnie.

Tadeusz chociaż dźwignął się z łoża boleści i chociaż chodził—był jeszcze bardzo osłąbionym.

W naturalnych warunkach bytu—młodość, to najpotężniejsza dźwignia w duchowym i fizycznym ustroju czło-

wieka—niezawodnie w krótce powróciłaby mu pierwotne siły; lecz on po tylu okropnych przejściach, czyż mógł być spokojnym?!...

On—co przed niedawnym czasem był ulubieńcem losu, otoczyny zbytkiem iście królewskim, najtroskliwszą opieką ukochanego dziadka, najczulszą miłością ubóstwianej matki, najdoborowszem towarzystwem kraju, wierną i liczną służbą uprzedzającą jego skinienia—naraz stracił to wszystko—a co głównie, stracił Ojczyznę!

Niedawno jeszcze; magnat,, sukcesor ogromnej fortuny i niezliczonych bogactw mogących sięgnąć po najwyższe dostojeństwa w kraju—a nawet po koronę, czczony przez obcych, wielbiony i kochany przez swoich... Dziś—biedny, osamotniony tułacz, wyzuty z tego wszystkiego co mu było drogiem i świętem, w cudzej ziemi, w ubogiej izdebce, w położeniu graniczącem z nędzą, bez przyszłości, bez jutra... Co za straszną ironja losu!

Mózg mu rozpierała pamięć minionych wypadków—a duszę przygniatała wielka, bezdrożna boleść...

Przy takim nastroju ducha, przy braku wygód, do których od dzieciństwa był przyzwyczajonym, a nawet przy braku posilniejszego pokarmu—bo już od kilkunastu dni żył tylko chlebem i wodą, z czem się starannie ukrywał przed panią Robson—powrót jego do zdrowia, był bardzo powolnym.

Jedyną jego rozrywką, był mały wnuczek gospodyni, Wiluś, który tak się do Tadeusza przywiązał, że prawie od niego nie odstępował. Dzieciuch ten miłej powierzchowności, bardzo rostropny jak na swój wiek i żywego temperamentu, swoją szczebiotliwością i dowcipnymi figielkami rozpędzał gorzkie jego dumania w izdebce i towarzyszył na codziennych przechadzkach, które nie tylko uspokajająco działały na umysł Tadeusza—ale i krzepiły jego siły.

W końcu natura przemogła. Zdrowie naszego bohatera widocznie poprawiać się zaczęło.

Tadeusz widząc, że żyć musi, i że musi się pogodzić ze smutną rzeczywistością—zaczął przemyśliwać nad środkami utrzymania życia. W tym celu badał sam siebie, do czego byłby zdolnym?

W kraju, uważano go powszechnie za bardzo wykształconego człowieka, bowiem znał prawie wszys.kie europejskie języki, grał biegle na fortepianie i dość wprawnie malował. Lecz tu, na co mu to wszystko przydać się może? Posady profesora w żadnym zakładzie naukowym mu nie dadzą; do występów koncertowych, czuł, że gra za słabo; również, że jego malarstwo nie wywrze podziwu arcydzieła. Gdyby teraz był szewcem, krawcem albo innym rzemieślnikiem, byłby o byt swój spokojnym.

Takim zajęty rozumowaniem Tadeusz wyszedł z domu i puścił się ludniejszemi ulicami. Przechodząc koło magazynów, w których oknach wystawowych były umieszczane różne obrazy i malowidła, zaczął im się uważnie przyglądać; wskutek czego przyszedł do przekonania, że to są straszne mazaniny, i że on nierównie w wyższym stopniu posiada sztukę malarską.—To spostrzeżenie zachęciło go i utwierdziło w przedsięwzięciu malowania obrazów. Kupił zaraz materyały potrzebne, powrócił do swej izdebki, zasiadł do pracy i po kilku dniach, miał sześć gotowych pejzaży.—Lecz teraz gdy wypadało pójść z niemi do miasta, ażeby je spieniężyć, przekonał się, że łatwiej jest zrobić, jak sprzedać.

Przez długi czas chodząc po pokoiku, łamał się ze swemi myślami—jak on potomek królewskiego rodu, będzie kramarzyć kilkoma drobnymi szkicami. On, co przywykł zawsze innym dawać, a nie od nikogo nie potrzebować, znajduje się obecnie w tym położeniu, że może mu o kilka szylingów targować się wypadnie. Przykre uczucia owładnęły jego umysłem, lecz wrzeszcie potrzeba i zimna rozwaga zwyciężyły.

Nie było rady. Jeżeli chciał żyć, pracować musiał—a tem samem musiał się zgodzić na wszystkie następstwa i konsekwencje ztąd wynikające.

Z Ojczyzny.

|| Z Krakowa donoszą: W r. 1900 przypada 500 rocznica odnowienia Kazimierzowskiej szkoły przez króla Władysława Jagiełłę. W celu uczczenia tej rocznicy senat akademicki postanowił przygotować szereg wydawnictw, które wyjdą w r. 1900, a odnosić się będą do historyi iniwersytetu. Osobną odezwą zaprosił senat profesorów uniwersytetu do składek na pokrycie kosztów jubileuszu.

|| Na pomnik dla cara Aleksandra III, który ma stanąć w Moskwie, zebrano w guberni Warszawskiej, jak donosi „Warsz. Dniewnik", „dobrowolnych ofiar" 10,552 rubli 19½ kop. Ciekawa rzecz: jakiemi środkami wymuszono te „dobrowolne" ofiary?!

|| Toruń liczy, oprócz wojska, mieszkańców 22,450, w tem: katolików 9057, ewangielików 11,646 i żydów 1,147.

|| Z Płocka donoszą: Do tutejszego szpitala św. Trójcy lekarz powiatu Płockiego nadesłał nieżywe nowonarodzone dziecię o dwóch głowach. Noworodek, płci męskiej, ma najprawidłowiej sformowane rączki, nóżki i cały korpus aż do szyi: szyja o wiele grubsza, aniżeli zwykle, i z tej wychodzą dwie główki, również prawidłowo sformowane, pokryte włoskami: główki nachylają się nieco w bok tak, że widać uszki. Noworodka złożono w klosz, nalany spirytusem. Ze szpitala ma być przesłany do urzędu lekarskiego.

|| Z Krakowa donoszą: Cykl obrazów, przedstawiających legendy o Matce Boskiej, wykonany przez Piotra Stachowicza a zakupiony z funduszów austryackiego ministerstwa oświaty, podarowany został przez ministra oświaty, dra Gautschur, krakowskiemu Muzeum Narodowemu w Sukiennicach.

|| Zmarły niedawno w Warszawie Gustaw Trzaskowski zapisał w swym testamencie znaczną sumę na cele dobroczynne. Mianowicie przeznaczył: 9,000 rs. na własność trzech kas pożyczkowych dla rzemieślników w Warszawie — i 30,000 rs. na własność warszawskiego Towarzystwa dobroczynności.

Polacy w Ameryce.

¶ Z Shenandoah, Pa. donoszą: Były salonista Jurko Karlicki, dostawszy się za awanturę do kozy, podpalił w nocy, z pobudek dotąd nieznanych celę, w której siedział zamknięty. Gdyby nie straż pożarna, byłby się stał ofiarą płomieni. Szkody pożaru wynikłe dochodzą do $400.

¶ W Toledo, O., Paweł Okoński zaskarżył kompanię gazową o 15.000 odszkodowania za potłuczenie przy pracy.

¶ W Wilkes Barre, Pa., policja uwięziła Antoniego Szmita za puszczenie w obieg fałszywych pieniędzy papierowych.

¶ W Glen Lyon, Pa., w kopalni węgla na miejscu zabity został górnik Tomasz Jacek, liczący lat 36. Pozostawił żonę i kilkoro dzieci.

¶ W Chicago znajduje się 15 polskich parafii i 35 księży a po za miastem 4 parafie i 4 księży. Dzieci polskich uczęszcza do szkół parafialnych około 13,000.

¶ W Baltimore, niejaki Kazimierz Lenkiewicz wracając 7 bm. wieczorem z Curtis Bay do domu, został napadnięty przez 4 murzynów złakomionych widokiem sumy u ob. L. Nieszczęśliwy bronił się bardzo, lecz raniony 2ma strzałami utracił przytomność. Na huk strzału przybyli mu z pomocą. Murzyni uciekli. Lekarze twierdzą, że L. dopiero po kilku miesiącach powróci do zdrowia.

¶ W Scranton, Pa., Paweł Wichlamowicz w kłótni zastrzelił swego przyjaciela Andrzeja Milowana. Morderca aresztowany.

Z KRAINY ŚMIECHU.

Lokator, wpadając z krzykiem: — Coż to za pomieszkanie pan mi wynająłeś! W piwnicy pełno wody!

Gospodarz: — A paneś się spodziewał tam szampana?

**

— Co było Ambrożemu?

— Nie wiem, był to zawsze człowiek tajemniczy: nie wiadomo z czego żył, nie wiadomo też na co umarł.

**

W restauracji,

Anglik: — Kelner! ja tej zupy jeść nie mogę!

Kelner: — Dobrze, proszę pana, zaraz odmienię.

Zabiera zupę i przynosi inną.

Po chwili.

Anglik: — Kelner ja tej zupy jeść nie mogę!

Niebawem zjawia się gospodarz z irytowany.

— Co pan upatrzyłeś sobie do tej zupy? Dlaczego jej jeść nie możesz?

Anglik: — Nie mogę bo nie mam łyżki...

**

Sprawiedliwy pies.

— Wyobraź sobie, miałem takiego mądrego psa, że odrazu rozpoznał łotra od uczciwego człowieka.

— Cóżeś z nim zrobił?

— Musiałem go darować, bo raz rzucił się na mnie.

Kto to??

Kto to powiedz że mi bracie
U Moskala nabrał złota,
Kupił ziomków w magistracie
A tu pono patryota?!
Kto to, powiedzcie druchowie,
Oszustwem i zdradą żyje,
Warchołem jest co się zowie,
Stekiem na brud i pomyje?
Kto to powiedźcie mi proszę:
Intrygant, figurka mała,
I posadę ma i grosze:
„Lejtnant u jenerała"!
Encykliki wciąż drukuje,
Wszystkim w oczy rzuca błoto,
Egoizmem naród truje,
Kto to taki? Kto to? Kto to?